



Kryminał z myszką

55

Przeigrana

stawka

**Anna
Kłodzińska**

Anna Kłodzińska

PRZEGRANA STAWKA

Kryminał z myszką – Tom 55

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-49-2

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1962, seria „Labirynt”

Rozdział 1

Na skrzyżowaniu zapłonęły czerwone światła. Autobus „100” ruszył z przystanku, przeciął ulicę Piękną i nabierając pędu jechał Alejami w stronę Belwederu. Pasażerowie przesuwali się między ławkami, mrużąc pod nosem:

- Miesięczny.
- ... sięczny.
- ... sięczny – aż konduktor zniecierpliwiał się i zawołał:
- Miesięczne proszę okazywać!

Nagle tuż za Ambasadą Węgierską wóz gwałtownie zahamował. Stojących w przejściu i zaczytanych w popołudniowych gazetach rzuciło raptownie do przodu. Ktoś zaklął, ktoś inny krzyknął w stronę kierowcy:

- Wariat! Jak on jedzie?

I natychmiast wszyscy zapomnieli o incydencie. Tylko kierowca wychylił się przez opuszczoną szybę i wściekłym wzrokiem pogonił za zieloną taksówką, która zmusiła go do tak ryzykownego zahamowania. Ale w chwilę później w oczach jego odmalowało się zdumienie, a z ust wyrwał się jakiś niecenzuralny okrzyk. Zielona warszawa tańczyła bowiem na jezdni jak podczas najzdradliwszej gołoledzi styczniowej, od chodnika do chodnika. Tymczasem zaś wieczór był suchy, ciepły, październikowy.

– Patrz pan, patrz! Co on wyprawia? – wrzasnął stojący obok kierowcy tęgi, rumiany pan.

W tej samej chwili autobus znów musiał gwałtownie zahamować przed opętaną taksówką i tęgi pan uderzył nosem w metalowy uchwyt, aż poszła krew. Tym razem jednak nikt nie wygłosił wiązanki pod adresem kierowcy autobusu. Pasażerowie, stłoczeni przy szybach po jednej stronie, z zapartym oddechem przyglądali się zielonej warszawie.

- Oho! – zawołał ktoś, usłyszawszy przez szum motoru narastający ryk syreny.

Od strony placu Trzech Krzyży pędził samochód z Komendy Ruchu Drogowego. Dwaj milicjanci, stojący na skrzyżowaniu obu Alei, wybiegli na jezdnię. Jeden z nich rozkrzyżował ręce, usiłując zmusić zieloną taksówkę do zatrzymania się. Kierowca autobusu „125”, który podjeżdżał właśnie od strony placu Unii, widząc, co się dzieje, zjechał w bok i zatrzymał się w połowie ulicy. Jakaś wołga, również taksówka, próbowała dogonić „zieloną”, ale zarzuciła na zakręcie, potrącając kiosk z gazetami.

A tamta – jakby na przekór – wciąż zataczała się nieprzytomnie po jezdni. Pasażerowie dwóch autobusów, trolejbusu i paru samochodów przyglądali się tym harcom ze wzrastającym przerażeniem.

Z ogłuszającym rykiem mignął obok stojących na chodniku samochód milicyjny, usiłując „zielonej” zajeżdżać drogę. Nim zdążył to jednak zrobić, taksówka całą siłą uderzyła o pień grubego drzewa i znieruchomiała.

Jęcząc hamulcami, zarył się tuż obok niej wóz Komendy Ruchu. Inspektor porucznik Grzędzielski wyskoczył i zbliżył się do drzewa. Widok był straszny nawet dla przywykłego do wypadków oficera. Wskutek zderzenia z pniem pękła kierownica i sztyca przebiła klatkę piersiową kierowcy. Drażki poprzeczne wraz z lewym kołem zostały urwane, a koło odrzucone dwieście metrów dalej. Silnik, wyrwany z oprawy ramy, wbił się do wnętrza samochodu, przygniatając kierowcę do siedzenia. Z na wpół uchylonych przednich drzwiczek zwisała zakrwawiona ręka o zgruchotanych palcach.

Grzędzielski zmarszczył brwi i zajął się głębiej wóz. Na tylnym siedzeniu nie było nikogo. Odwrócił się w stronę stojących tuż za nim milicjantów i mruknął:

- Miazga. Gapiów precz... Dajcie mi jakąś gazetę.
- Rozłożył podany mu numer „Życia Warszawy” i zakrył nim głowę kierowcy taksówki.
- Pogotowie Ratunkowe? – spytał plutonowy.

– Oczywiście, dla świadectwa zgonu – odparł oficer.

*

Prokurator – wysoki, jasnowłosy – niecierpliwie zabębnił palcami i poprawił czarną togę, po czym znowu utkwiał wzrok w oskarżonym. Wiedział, co o nim myśleć, przesłuchiwał go poprzednio przez długie godziny, i zdanie jego o tym młodym chłopcu, obdarzonym niezwykłą urodą, było już wyrobione. Teraz jednak chłopiec powiedział coś, co prokuratorowi nasunęło pewne wątpliwości.

Dwaj obrońcy, o ustalonej pośród warszawskiej palestry sławie, pochylili ku sobie głowy i konspiracyjnym szeptem nad czymś się naradzali. Sprawa nie była trudna. Zdecydowana większość obecnych na sali darzyła oskarżonego nieukrywaną sympatią. Sympatia ta przebijała również ze sprawozdań prasowych, dziwnie jednomyślnych we wszystkich, nawet konkurencyjnych pismach.

– Żeby nie ten nóż – powiedział półgłosem ktoś na sali – to by w ogóle nie było mowy o premedytacji.

– No to co, że kupił majchra? – odparł mu ktoś drugi.

– A pan byś nie posunął frajera kosą, jakby się do pańskiej żony przystawiał? Jego prawo było tamtemu kichy wypruć, jak pragnę zdrowia!

– Ciszej tam, proszę – sędzia spojrzał na salę. Potem zwrócił głowę w prawo: – Pan prokurator...?

– Chciałbym zapytać oskarżonego – zaczął tamten z namysłem – co rozumie przez określenie „miłość egoistyczna”? Czy oskarżony czytał utwór Tołstoja „Żywy trup”?

– Nie – odparł piękny chłopiec. – Tego nie czytałem. Ale na przykład u Prousta czy Sartre’a... – zagłębił się w filozoficznym rozważaniu.

– O jakim trupie mówią? – spytała szeptem jedna z dwóch starszych kobiet w chustkach, przysłuchujących się rozprawie z otwartymi ustami.

– Pewnie o tym ojczymie – odparła jej sąsiadka. – Przecie umarł w szpitalu.

– I ożył?

Ktoś parsknął śmiechem. Szczupły mężczyzna w szarym ubraniu spojrzał w tamtym kierunku. Jego czarne oczy skierowały się na kobietę, siedzącą w ławce o dwa rzędy dalej. Miała jasne, tłuste i źle uczesane włosy oraz bystre, jasnoniebieskie oczy, teraz pełne wesołych ogników śmiechu. Mimo pozornej nieuwagi, dostrzegła spojrzenie obcego mężczyzny. Przyjrzała mu się z aprobatą, ze zniszczonej plastikowej torebki wyjęła lusterko i pociągnęła pomadką po pełnych wargach.

Sędzia spojrzał ukradkiem na zegarek. Był głodny.

– Pan prokurator chciał jeszcze o coś zapytać oskarżonego? Panowie obrońcy...? Nie. Wobec tego zarządzam przerwę do godziny czternastej.

Biegli psychiatrzy sprzeczali się o coś z prokuratorem. Jeden z obrońców, starszy mężczyzna o czerwonej twarzy i pozornie dobrotliwym uśmiechu, przysłuchiwał się tej dyskusji z lekkim skrzywieniem wąskich warg. Siwowłosy psychiatra wymownie wzruszył ramionami i spojrzał na adwokata, jakby biorąc go na świadka sporu.

– Trzeba wczuć się w psychikę takiego młokosa, który zna życie tylko z literatury – powiedział niecierpliwie. – A w dodatku poeta! Kompleks niższości wobec tamtego. Romantyczna miłość do żony. Miłość, jaka się dziś prawie nie zdarza. Prawda, panie mecenasie? – pochylił się w jego stronę, odrzucając, w tył białe, gęste włosy.

– Mniej więcej to samo panu wczoraj mówiłem – rzekł prokurator spokojnie. – Treść ta sama, tylko mówimy każdy z innej pozycji. Nie wolno bezkarnie zabijać, nawet w imię znieważonej „romantycznej” miłości. Przepraszam, idę do bufetu coś przegryźć.

Część osób z sali wyszła na korytarz, reszta rozmawiała półgłosem. Dwaj młodzi mężczyźni wspólnie czytali kronikę wypadków w „Życiu Warszawy”.

– O, widzisz? – jeden pokazał palcem małą notatkę. – To ten wypadek na Szucha. Ten, cośmy widzieli. Patrz, tu pisze: „Kierowca zmarł natychmiast”. No, myślę! Głowę miał jak marmolada.

– Nazywał się Władysław Bruzik – powiedział jego kolega. Oderwał wzrok od gazety i zamyślił się na chwilę.

– Napisali, jak to się stało? – spytał po chwili.

– Nie. Pewnie był na bańce. Widziałeś, jak wóz tańczył po jezdni? Wariat, pod taką muchą siadać za kółkiem... Chodź, pójdziemy na piwo.

Wstali. Gazeta zsunęła się na podłogę. Nie zauważyli tego, kierując się w stronę wyjścia. Kobieta o jasnych, tłustych włosach szybkim ruchem schyliła się i wyciągnęła „Życie Warszawy” spod ławki. Twarz jej pełna była teraz jakiegoś napięcia, a pomalowane wargi lekko drżały. Niewprawnie, jak ktoś, kto nieczęsto zagląda do gazety, przerzucała strony, szukając widocznie jakiejś wiadomości. Wreszcie odnalazła ją. Leciutko poruszając ustami, czytała wolno, uważnie i długo. O wiele za długo, nawet jak na człowieka, który czytaniu mało czasu poświęca. Uważny obserwator mógłby z łatwością zauważyć, że odczytywała notatkę kilka razy.

Wreszcie złożyła starannie gazetę, obejrzała się za siebie, potem szybko zgięła ją we czworo i z pewnym wysiłkiem wepchnęła do małej torebki, wstała i wyszła z sali. Mężczyzna w szarym ubraniu pogonił za nią wzrokiem. Jego lekko śniada twarz, o regularnych rysach, wyrażała w tej chwili niezdecydowanie. Widocznie wahał się, czy pozostać na sali, czy pójść za kobietą. Tymczasem jednak prokurator wrócił już z bufetu, a dojrzawszy czarnookiego mężczyznę, uśmiechnął się i zaczął iść w jego kierunku. Tamten wstał więc, wyszedł mu naprzeciw i zaczęli o czymś z cicha rozmawiać. W tym momencie jasnowłosa kobieta opuszczała już gmach sądów i schodziła po szerokich kamiennych schodach.

*

Tego wieczoru pani Maria Wesołowska musiała – choć bardzo tego nie lubiła – zejść do piwnicy. Mąż, inżynier-wynalazca, był tak pochłonięty szukaniem błędu w obliczeniach, który uniemożliwiał mu dalszą robotę, że nie odważyła się prosić go o pomoc. A, jak na złość, zamówił sobie na kolację smażone ziemniaki.

Westchnąwszy więc na tyle głośno, aby ewentualnie się domyślił, lecz i na tyle cicho, by nie mógł mieć żadnych pretensji – postąpiła chwilę w przedpokoju, potem trzasnęła drzwiami, co sprawiło jej ulgę, i zaczęła powoli schodzić po schodach.

Dom był stary. Stał przy małej, bocznej uliczce w pobliżu Grochowskiej. Naturalnie w piwnicy nie było światła i pani Maria niosła zapaloną świeczkę. Zeszła na parter, minęła sień i wejściem od podwórza skierowała się do piwnicznych schodów. Zaledwie jednak minęła trzy stopnie, usłyszała jakiś szmer. Znieruchomiała. Ręka ze świeczką zadrżała, blask zatańczył po ścianach. Szmer powtórzył się. Jednocześnie poczuła zapach dymu tytoniowego. „Ktoś pali” – pomyślała z ulgą. Ktokolwiek to był, był człowiekiem żywym. Nie bała się złodziei. Bała się umarłych.

– Kto tam jest? – zawołała, schodząc na ostatni stopień, za którym był już korytarz. – Halo, kto tam jest?

W głębi korytarza coś się poruszyło. Wesołowska uniosła świeczkę w górę i, osłaniając ręką jej płomień, weszła w niski, betonowy chodnik. Minęła drzwi od własnej komórki z kartoflami i węglem, minęła jeszcze jedno i zobaczyła żarzący się ognek papierosa.

– To u „tych z parteru”... – mruknęła do siebie. I odzyskawszy już całkowicie poczucie bezpieczeństwa, zawołała uprzejmie:

– Może poświecić?

Ale osobnik palący papierosa nie odpowiedział. Inżynierowa podeszła bliżej. Przyłożyła twarz do drzwi z drewnianej kraty, alby dojrzeć, kto to z sąsiadów siedzi tam i nie raczy nawet się odezwać. W nikłym blasku świecy zobaczyła, że w komórce stoi coś w rodzaju łóżka czy pryczy, zbitej z desek i zarzuconej brudną pościelą, na której ktoś leży. Ale przecież chyba nie śpi, bo pali papierosa.

– Kto tu jest? – zapytała znowu Wesołowska. Leżący poruszył się. Na ziemię stoczyła się półlitrowa butelka z czerwoną nalepką.

– Ty wstrętny pijaku! – krzyknęła pani Maria i szarpnęła drzwiami. Były jednak zamknięte od wewnątrz. Od strony łóżka doleciał ją jakiś nieartykułowany dźwięk – ni to chrapanie, ni pijacki bełkot.

– Cóż za historia – powiedziała inżynierowa, za wszelką cenę usiłując dojrzeć, kto tam leży. I nagle zobaczyła, że papieros lada chwila wymknie się z palców pijaka i upadnie na podłogę, pomiędzy szmaty i papiery.

– Pijaku! – krzyknęła znowu, potrząsając drzwiami – spalisz siebie, piwnicę i cały dom! Leżący sapnął i odwrócił się do ściany, naciągając na głowę podarty koc. Papieros leżał już na podłodze.

Wesołowska machnęła ręką, odwróciła się i wybiegła z piwnicy. Na chwilę zatrzymała się przed drzwiami „tych z parteru”, ale zaraz zrezygnowała i poszła wyżej. Sama do nich nie pójdzie, zadzwoniła do własnych drzwi jak na alarm.

– Co tak dzwonisz? Pali się? – spytał mąż gniewnie. W starych, szerokich spodniach, flanelowej koszuli i rozkładanych nocnych pantoflach – domowym stroju „do pracy” – wyglądał dobrodusznie mimo groźnej miny.

– Zaraz się zapali! – zawołała zaafierowana. – W piwnicy. Prędko, weź latarkę i chodź. W komórce „tych z parteru” ktoś leży, pali papierosa, upił się i ten papieros na podłodze... ojej, jak się zadyszałam! Zaraz komórka zacznie się palić i on się spali żywcem. Chodź prędko, weź młotek i siekiere, bo on się zamknął od środka. Wcale się nie odzywa. No chodźże, czego stoisz?

– Poczekaj, nic nie rozumiem. Co nas obchodzi, co się dzieje w ich piwnicy? Powiedziałaś im, że tam ktoś się zamknął?

– Nie. Nie chciałam do nich wchodzić. Wiesz, jakie to kobiety... Chodź na dół, sam zobaczysz. Spali się cały dom, to będzie za późno.

– Czekaj, włożę tylko buty. Daj siekiere. Albo nie, najpierw pójde do nich. Nie będę przecież rozwalać ich komórki. Na pewno mają klucz.

Przed drzwiami jednopokojowego mieszkania na parterze oboje zatrzymali się niezdecydowanie. Potem inżynier zapukał. Z tamtej strony dobiegło ich chrypliwe:

– Wlazł! Otwarte.

Inżynier nacisnął klamkę. W małym, może ośmiometrowym pokoju, oprócz pieca kuchennego i szafy w kącie, stało żelazne łóżko i dwa krzesła. Na łóżku leżał mężczyzna, rozebrany do pasa. Obok niego siedziała kobieta o jasnych, tłustych włosach i pełnych, umalowanych wargach. Inny mężczyzna, na krześle pod zasłoniętym firanką oknem, od niechcienia naciskał klawisze akordeonu. Na drugim krześle stały butelki z wódką, trochę wędliny i kwaszone ogórki.

– Przepraszam... – zaczął inżynier z zakłopotaniem – żona była przed chwilą w piwnicy i zobaczyła, że w komórce, która należy do tego mieszkania, ktoś leży. Pali papierosy, może spowodować pożar.

Na wpół nagi mężczyzna parsknął śmiechem. Przyciągnął do siebie kobietę i coś jej zaczął szeptać na ucho. Kobieta objęła go za szyję i nie patrząc w tył, wymacała butelkę, po czym przytknęła ją do ust leżącego. Siedzący pod oknem śpiewał ochryplym głosem:

*Szedłem z więzienia przez góry i doliny,
Ujrzałem ją – szesnaście miała lat.
Pod oknem jej czekałem trzy godziny,
Gdy wtem zabłysło światło w oknach jej.*

Inżynier zorientował się, że wszyscy troje są zupełnie pijani. Zacisnął wargi. Sytuacja była głupia. Nie chciał iść sam do piwnicy i rządzić się w ich komórce, ale z pijanymi się nie dogada. Nie wiedział, co robić. Za jego plecami stała Maria.

– A gdzie matka tej kobiety? – spytała szeptem. (Jasnowłosa mieszkała z matką)

Mężczyzna z akordeonem usłyszał pytanie i zrozumiał. Przebiegł palcami po klawiszach, akordeon odpowiedział długim, żalonym westchnieniem.

– Wywalilim starą... na dół, hep – odbiło mu się. – Wy-wa... wywalilim, psia jej noga.

Nagle leżący uniósł się na łokciu i spojrzał na Wesołowskiego prawie przytomnie.

– A szanowny pan, k... twoja mać, na cholerę tu przylazł? Że teściowa piętro niżej spać się położyła? Nie twój zasrany interes. Szoruj stąd, bo cię... – chwycił butelkę i zamachnął się, ale kobieta przytrzymała jego rękę. Inżynier cofnął się śpiesznie i zatrzaskał drzwi. Z pokoju dobiegł głośny, pijacki śmiech.

– Chodź! – powiedział do żony. I pociągnął ją za sobą w stronę piwnicy. – Trzeba sprawdzić, czy to rzeczywiście jej matka tam leży. A potem... – urwał, zastanowił się przez chwilę – potem pojedę po milicję.

Gdy stanęli przed drzwiami komórki, inżynier skierował na wyrko ostry snop światła latarki. Tak, leżała tam kobieta, z głową otuloną chustką. Papieros zgasł na szczęście, niemniej każdy następny groził pożarem.

– Ta jej matka – powiedziała Wesołowska do męża, gdy byli już w mieszkaniu i inżynier wkładał czarny lodenowy płaszcz – to nałogowa alkoholiczka. Kiedyś napiła się spirytusu metylowego i od tej pory nie widzi na jedno oko.

– Słuchaj, jak one się właściwie nazywają? Ta młoda, to mężatka?

– Mężatka... na kocią łapę. Nasz dzielnicowy kiedyś mi o niej opowiadał, jak chodziłam do komendy w sprawie dowodu. Ona ma pięć czy sześć klas szkoły podstawowej, w każdym razie do siódmej już nie doszła, bo ją wywalili czy sama uciekła. Miała wtedy prawie szesnaście lat. W każdej klasie siedziała po dwa lata. Zajął się nią jakiś młody lekarz. Podobno chciał z niej zrobić coś w rodzaju pielęgniarki czy pomocnicy przy pacjentach. Ona jest właściwie bardzo ładna.

Wesołowski wzruszył ramionami.

– Nie zauważyłem tej urody – mruknął, rozglądając się za szalikiem. – Tłuste włosy, cała jakaś taka jakby nie umyta.

– Bo pewnie się nie myje. Ale ja ją widziałam raz w kinie, to mówię ci, że ledwo ją poznałam. Sliczna kobieta! Tylko oczy ma złe.

– No i co z tym lekarzem?

– Nauczył ją ładnie jeść, zachowywać się po ludzku, dawał jej książki, żeby przywykła do czytania, prowadził do teatru. Tak było przez rok. Potem jej się znudziło. Ukradła mu dwa tomy encyklopedii i sprzedała, więc ją zbił i wyrzucił z domu. Potem... nie wiem, co robiła. Zdaje się, że była gdzieś poza Warszawą. Do matki wróciła w zeszłym roku. Podobno gdzieś pracuje. Aha, one nazywają się Pilsz. Ta młoda ma na imię Ewa. Jedziesz do komendy?

– Tak. Nie wychodź z mieszkania i nikomu nie otwieraj. Nie podobał mi się ten drab bez koszuli. Ja za pół godziny wrócę.

W Komendzie Dzielnicowej MO inżynier musiał jednak czekać. Wszystkie radiowozy były akurat na mieście, a w mikrusie, którym przyjechał, nawet przy najlepszych chęciach nie zmieściłoby się więcej niż dwie osoby. Wesołowski usiadł więc w dyżurce i pogadywał o tym i owym ze znajomym sierżantem. Gdy zapalał papierosa, drzwi otworzyły się i do pokoju

wszedł porucznik z sąsiedniej Komendy Ruchu Drogowego. Przywitał się z podoficerem i obrzucił inżyniera przelotnym spojrzeniem, po czym przysiadł się do dyżurnego i powiedział wzdychając:

– Głupia sprawa, wiesz? Nasi nie wiedzą, jak z tego wybrnąć.

– Mówisz o tym taksówkarzu z zielonej warszawy?

– Tak. Rozumiesz, bracie, żeby choć kropla alkoholu we krwi! Ale nic. Zamroczenia jakiegoś dostał, czy co u licha? Marecki widział, jak wóz uganiał po Alejach Ujazdowskich od chodnika do chodnika. Każdy myślał, że pijany w sztok. Ale nie. Więc co?

– Może zachorował? Może miał wysoką gorączkę?

Porucznik skrzywił się.

– Eee, człowieku, który taksówkarz wyjeżdżałby w gorączce na miasto? Badaliśmy, rzecz jasna, jak tam w domu i w ogóle. Mieszkał sam. W przedsiębiorstwie mówią o nim, że dobry kierowca, sumienny, uczciwy.

Milczeli chwilę.

– Wątpię – zaczął sierżant z namysłem – żeby chciał w taki sposób popełnić samobójstwo. To nie jest wyjście. Mógł się wcale nie zabić, tylko pokaleczyć.

– Oczywiście. Nie, to na pewno nie samobójstwo. Ale w takim razie co?

– Jeżeli sekcja nic nie wykazała, to niczego nie dojdziecie – rzekł podoficer. – Wciągniesz sobie do statystyki jeszcze jeden wypadek śmiertelny w stolicy i kropka. No, jesteście! – zwrócił się do wchodzących milicjantów. – Trzeba pojechać znowu do Pilszów.

– O rany! – wykrzyknął plutonowy z niezadowoleniem. – Który to już raz w tym roku? Co te babki znowu zrobiły?

– Młoda wyrzuciła matkę do piwnicy i lokatorzy obawiają się, zresztą zupełnie słusznie, że stara zaproszy ogień. Wiecie, że ona na wpół ślepa, a wódkę ciągnie jak szatan. Jedź, Staszek, z inżynierem. Weź jeszcze Grzybowskiego albo Lipniaka. U tej Ewy podobno odchodzi większy jubel, jakieś facety tam się poschodziły.

– Ilu? – spytał rzeczowo plutonowy.

– Dwóch – odparł Wesołowski. – Całe towarzystwo dobrze już pijane. Obawiam się...

– wstał, sięgnął po płaszcz.

– Chodźmy już!

Gdy radiowóz milicyjny i wytrwale doganiający go mały mikrus stanęły przed starą kamienicą, inżynier wyskoczył szybko z wozu i, schyliwszy się, pokazał milicjantom nikłe światełko, przeblyskujące przez jedno z piwnicznych okienek.

– O, widzi pan? – rzekł z wyrzutem i obawą w głosie. – Znowu pali papierosy. Albo nawet świeczkę.

Zeszli w trójkę do piwnicy. Kapral Lipniak oświetlił komórkę Pilszów i pokręcił głową. Stara kobieta w chustce siedziała, kiwając się sennie, na drewnianym łóżku i mrucała coś do siebie. Na podłodze, wśród śmieci, słomy i papierów, stała paląca się świeczka, a obok niej otwarta i na wpół opróżniona butelka z wódką.

– Hej, babciu! – zawołał plutonowy Kowalski. – Nie za dużo tego picia? Otwórzcie no drzwi.

Pilszowa zamrugła jednym okiem. Raziło ją światło latarki.

– Hej? – mruknęła, sięgając po butelkę. – Królu złoty, rycerzyku ty mój najdroższy, perełko słodka... Ech, rrraz! – przytknęła butelkę do ust. – Jeszcze go raz! – znów przechyliła flaszkę. Pusta butelka poleciała w kąt komórki. – Pocięchy wy moje, jedyne na tym świecie! – wyciągnęła ręce w stronę milicjantów. – Może ćwiartuchnę?

Sięgnęła pod łóżko, macając wśród słomy.

Kapral parsknął śmiechem.

– Ona tam ma cały bufet pod tym wyrkiem – szepnął inżynier z przerażeniem.

– No, dosyć będzie, pani Pilszowa – Kowalski przełożył rękę przez kratę drzwi, przekreślił zasuwę i otworzył. – Niech pani wstaje. Tu nie wolno spać ani mieszkać. Świeczka, papieros, a dokoła słoma i papiery. Dalej, zabierać się. Szybko!

Ale stara kobieta, zupełnie już pijana, leciała im przez ręce, śliniąc się i zanieczyszczając rękawy mundurów. Zacisnęli zęby, wywlekli ją z trudem na schody i wtaszczyli do samochodu.

– Uch, cholera! – burknął kierowca ze złością. – Znów będę musiał czyścić wóz. Diabli nadali z pijakami.

Ewa Pilsz otworzyła drzwi niemal natychmiast po zastukaniu. Była sama. Uśmiechnęła się sennie, przykładając ręce do rozpalonych policzków.

– Cóż to, pani tak samotnie się bawi? – zapytał kapral.

– Kawalerzy już poszli?

Milczała. Odsunęła się, wpuszczając do pokoju milicjantów i inżyniera. Usiadła na łóżku, poprawiając poduszki.

– Dlaczego matka śpi w piwnicy? – spytał ostro plutonowy. – Czyje to jest mieszkanie?

– Moje – odparła niskim, zachrypniętym głosem. Wciąż się uśmiechała sama do siebie, patrząc gdzieś w bok.

– Nieprawda. Matka jest głównym lokatorem. Jakim prawem wyrzuciła ją pani do piwnicy?

Nie odpowiedziała. Wyjęła spod poduszki brudny grzebień z pękami jasnych włosów i zaczęła się czesać.

– Matka natychmiast wróci do mieszkania. Słyszysz pani? – plutonowy schylił się i potrząsnął kobietą za ramię. – Proszę iść tam i zabrać jej rzeczy.

– Niedoczekanie! – mruknęła nagle ze złością.

– Powtarzam: rzeczy mają być natychmiast zabrane. Rozumie pani, co mówię?

– A to sobie zabierajcie. Ja i tak nazad wyrzucę. I starą też.

Roześmiała się urągliwie. Raptem zerwała się z łóżka i stanęła przed podoficerem z zaciśniętymi pięściami. Wesołowski, który schował się trochę za plecami obu milicjantów, mimo woli pomyślał, że Ewa jest jednak rzeczywiście ładna, chociaż brudna i zaniedbana.

– To jest moje mieszkanie! – wrzasnęła. – A jak mi się tu ktokolwiek jeszcze wpakuje, to zaduszę.

Zachwiała się i znów usiadła na łóżku.

– Wynocha stąd – powiedziała prawie spokojnym głosem – bo wrzątkiem obleję.

– Proszę się ubrać. Pojedzie pani do Izby Wytrzeźwień – plutonowy zaczynał już tracić cierpliwość. – A jutro do komendy.

– Gówno – odparła.

– Ostatni raz mówię: ubierasz się, czy nie? – krzyknął młodszy z podoficerów. – Bo zabierzemy siłą.

Wtedy zaczęła krzyczeć. Był to jakiś nieludzki, ochryply wrzask, pełen wrzącej pasji i nienawiści. W kamienicy pootwierały się drzwi, przestraszeni lokatorzy wybiegli na schody, narzucając na siebie, co kto miał pod ręką. Zdenerwowani milicjanci prowadzili opierającą się kobietę, która pluła na nich, kopała, wrywała się, nie przestając wrzeszczeć. Wreszcie jeden z nich wpadł na rozsądny pomysł i zarzuciwszy Ewie na głowę jej własny płaszcz, wyniósł ją na rękach do samochodu. Drugi zamknął mieszkanie na klucz i przy świadkach wręczył go dozorczy, nakazując jednocześnie zwracać na przyszłość większą uwagę na to, co się dzieje w piwnicy. Gdy radiowóz odjechał, lokatorzy długo jeszcze stali na schodach, komentując całe wydarzenie. Bohaterem zajścia był inżynier. Gdyby nie jego interwencja, całemu domowi grozić mógł bowiem pożar.

– Te kobiety to by trzeba wysiedlić gdzieś poza Warszawę – powiedział jeden z urzędników bankowych, mieszkający na drugim piętrze. – Nie ma tygodnia, żeby nie

urządzały jakichś awantur. Aż wstyd dla całej kamienicy. Pan by to mógł przecież załatwić – zwrócił się do majora rezerwy, który piastował funkcję przewodniczącego komitetu blokowego.

– Zupełnie słusznie – podchwyciła jakaś kobieta. – Trzeba to poruszyć na najbliższym zebraniu. Moglibyśmy złożyć podanie do dzielnicowej rady, na pewno wszyscy lokatorzy się podpiszą.

– Bardzo dobra myśl – poparł urzędnika młody kierowca. W wyobraźni widział już siebie, jak otrzymuje przydział na mieszkanie po Pilszach. Wyprowadziłby się nareszcie z tego „kołchozu”, jak nazywano duży sublokatorski pokój, w którym mieszkały aż dwie rodziny, każda w innym kącie.

Postali jeszcze chwilę i rozeszli się, syci wrażeń i uspokojeni.

– Kartofle usmażone – powiedziała Maria do męża. – Chodź na górę.

– Zaraz – inżynier przypomniał sobie o stojącym przed domem samochodzie: – Wprowadzę tylko wóz do garażu.

Ale kiedy zbliżył się do mikrusa, zobaczył, że mały samochodzik dziwnie jakoś wygląda. Szybko oświetlił go latarką i zdrtwiał. Wszystkie cztery opony były porżnięte, jakby dużym, ostrym nożem, na nowym lakierze widniały rysy i ślady uderzeń, a za wycieraczkę wcisnięto kartkę papieru, na której niezgrabnymi, drukowanymi literami czyjaś ręka napisała: „Tobie tyż porzniemy bebechy”.

Długą chwilę stał obok samochodu, milcząc i rozważając w duchu, co teraz zrobić. Nie był tchórzem. Ale zemsta obrażonego kochanka czy kochanków Ewy Pilsz mogła osiągnąć go w takiej chwili i w takim miejscu, w którym nie będzie mógł się bronić... gdzieś zza rogu ciemnych ulic Grochowa, na piwnicznych schodach czy nawet na słabo oświetlonej klatce schodowej.

*

Tego wieczoru w Izbie Wyrzeźwień panował tłok niczym w warszawskich hotelach. Radiowozy milicyjne raz po raz zwoziły „pijaczków”, jak ich między sobą pobłażliwie nazywali. Po stronie „męskiej” starszy, siwy lekarz z nachmurzoną twarzą badał puls młodego chłopaka, który wypił co najmniej o pół litra za dużo i teraz jego niezbyt silny organizm walczył ze śmiercią. Na sąsiednim łóżku leżał w agonii jakiś robotnik budowlany, cierpiący od dawna na wadę serca. Ćwiartka czystej wyborowej, wypita na weselu znajomego, wystarczyła, aby wyprawić go na tamten świat.

Obok nich i w innych salach kilkudziesięciu pijanych mężczyzn chrapało, bełkotało, wymiotowało lub leżało bez przytomności, dysząc z wysiłkiem.

– Patrz pan, co ta wódka robi z człowiekiem – szeptał oficer milicji jednemu z młodych dziennikarzy, który przyszedł tu, aby napisać wstrząsający reportaż, i stał teraz w korytarzu, patrząc dokoła zdumionymi oczami. – Ten starszy, siwy jegomość, co rzyga w tej chwili, to urzędnik z jednego ministerstwa. Wysoki urzędnik – ma swój gabinet, sekretarkę, samochód, a jakżeśmy go zabierali z placu Unii Lubelskiej, gdzie leżał pod parkanem, to wymyślał nam tak, że trudno było słuchać. A tamten pod ścianą, co leży jak trup, to bardzo znany aktor. Nie będę mówił nazwiska, choć je znam. On tu ze dwa – trzy razy w miesiącu trafia. To już nałogowiec, nic z niego nie będzie. A ten znów... – urwał, obejrzał się. Przy drzwiach wejściowych dwóch milicjantów szamotało się z krzyczącą głośno kobietą. – O, jest i Ewa Pilsz. Napisz pan o niej. Taka młoda dziewczyna, ładna, zgrabna, czy to nie szkoda, że się marnuje? Naturalnie, jest i jej matka. To ona tak córkę nauczyła, stara pijanica.

Pielęgniarka z obsługi izby, tęga blondynka w szarym fartuchu, ujęła Ewę silnie pod ramię i prowadziła ją do kobiecego oddziału.

– Najgorsze to mycie i rozbieranie – sarknęła, przechodząc koło reportera. – Niektóre mają wszy, a przed kąpielą bronią się jak diabeł przed święconą wodą.

– Co się pani stało w rękę? – spytał oficer, widząc bandaż na dłoni pielęgniarki.

– A ugryzła mnie jedna taka... Świętej cierpliwości trzeba z pijakami. Baby, to nawet gorsze. No, idziesz czy nie? – krzyknęła ostro na Ewę, która zapierała się nogami, klnąc głośno, wyraźnie i soczyście. – Będę ją musiała pasami do łóżka przywiązać. Jazda do umywalni!

– Na co te kraty w oknach? – spytał reporter milicjanta.

– Bo by szyby wybili i zwiali. Pan sobie nie wyobraża, jaką pijak ma czasem siłę i ile potrafi narozrabiać. No, idę. Do widzenia.

Gdzieś nad ranem Ewa zbudziła się z ciężkiego pijackiego snu i rozejrzała wokoło. Spróbowała zerwać się z łóżka, ale szerokie skórzane pasy nie pozwoliły jej wstać. Szarpnęła się, krzyknęła. Do sali zajrzała pielęgniarka. Twarz miała szarą ze zmęczenia, oczy zaczerwienione.

– Czego się rzucasz? – spytała bez gniewu. Stała przy łóżku i pokiwała głową. – Ech, ty głupia dziewczyno, nie wstyd ci tak się upijać? Któż to weźmie za żonę nałogową alkoholickę? A tobie już mało brakuje, żeby wpaść w nałóg.

Ewa milczała. Chciało jej się pić.

– Proszę mi rozwiązać pasy – powiedziała cicho. – Chcę się napić wody.

Pielęgniarka przyjrzała jej się wprawnym okiem i rozpięła pasy. Ewa wypła duszkiem szklankę wody i siedziała chwilę na łóżku, nad czymś medytując. Gdy pielęgniarka odeszła, rozejrzała się po sali, szukając wzrokiem matki. Pilszowa już nie spała. Leżała cicho, rozkoszując się białym prześcieradłem i wygodnym pościeleniem. Rozmyślała właśnie, czy by nie awanturować się częściej. Powiedzmy: raz na tydzień. Umyją, przebiorą w czystą koszulę, położą do łóżka. Nawet doktor pod ręką, jakby się co stało. A za noc i tak nie zapłaci, bo nie ma z czego. Niech sobie rachunki piszą. Jedna tutaj kiedyś mówiła, że winna jest już dwa tysiące. Kto z niej to ściągnie? Pewnie, że nikt.

Ktoś usiadł na jej łóżku, W szarym świetle poranka zobaczyła pochylającą się nad nią twarz córki.

– Co jest? – przestraszyła się. – Ty mnie nie rusz, bo zacznę krzyczeć! – ostrzegła. – Czego chcesz?

– Jak wrócimy do domu – powiedziała Ewa ostrym szeptem – to matka zabierze swoje rzeczy z piwnicy i pojedzie na wieś, do ciotki Stanisławowej. Słyszysz matka? Ja do mieszkania nie wpuszczę. Już się matce raz ode mnie dostało, ale teraz zaduszę. Na amen.

W korytarzu rozległy się czyjeś kroki. Ewa śpiesznie wróciła do łóżka i naciągnęła koc na głowę. Po chwili spała już, oddychając równo i spokojnie.

Stara Pilszowa leżała bez ruchu, wstrzymując ze strachu oddech. „To córka”... – myślała, wpatrując się w przestrzeń swym jednym okiem. – Córka... A żeby cię nagła krew zalała! – mruknęła i aż zmartwiała, czy aby tamta nie usłyszy.

Rozdział 2

– Głos ma radny Nowakowski z komisji przemysłu – powiedział przewodniczący sesji, zajrzawszy do leżącej przed nim kartki. – Proszę, towarzyszu Nowakowski. Przygotuje się radny, doktor Ziemia.

– Ja tylko w kwestii formalnej – powiedział z przepraszającym uśmiechem Nowakowski – o pierwszej miała być przerwa, a jest już prawie wpół do trzeciej...

– Ach, rzeczywiście – przewodniczący spojrział na zegarek i pokiwał głową z ubolewaniem. Znany był z tego, że ilekroć przewodniczył, zapominał o obiedzie. – Wobec tego – powiedział z nutą żalu w głosie – ogłaszam półgodzinną przerwę.

Na sali zaszurały odsuwane krzesła, wszczął się gwar, radni wychodzili na korytarz. Obok schodów urządzono bufet i w ciągu paru sekund uformowała się „kolejka” do gorącego bigosu, druga po wędlinę i sałatki. Przy małym stoliku kelnerka nalewała do szklanek kawę i herbatę. Brzęczały łyżeczki, ktoś z hałasem upuścił na ziemię talerzyk z jajkiem w majonezie i przechodzący tamtędy mieli buty usmarowane gęstym sosem.

W sali otwarto okna i mroźne, styczniowe powietrze wtargnęło do środka, płosząc opary dymu tytoniowego. Mały, blady sekretarz prezydium rozglądał się z zakłopotaniem, szukając delegatów ze stołecznej rady narodowej, aby umożliwić im zjedzenie czegoś bez „kolejki”.

– Już są przy bufecie, towarzyszu sekretarzu! – zawołał ktoś z prezydium. – Błaszczyk załatwił. A was szuka prokurator.

Sekretarz zaczął się więc rozglądać za prokuratorem. Prokurator zaś dojrzał na końcu korytarza radnego z Najwyższej Izby Kontroli, do którego miał ważny interes, i przepychał się w jego kierunku, lawirując szklanką z kawą ponad głowami stojących. Starszy inspektor NIK-u od paru minut polował jednak na przewodniczącego sesji i, złapawszy go przy telefonie, wdał się z nim w dłuższą dyskusję.

Wreszcie wszyscy się wzajemnie odnaleźli i w składzie: prokurator, inspektor, sekretarz oraz kierownik wydziału kwaterunkowego, zeszli pół piętra w dół, aby spokojnie wypalić papierosa.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI